



Mirosław Derecki (M.D.)

EKRAN I WIDZ: „W SIDŁACH AGENTA 007”

Moda na „tajnych agentów” zatacza coraz szersze kręgi. Muskularni dżentelmeni, niechybni w posługiwaniu się mauzerami czy lugerami, niezwycześni w karate i diabelnie męscy, podbijają serca widowni obojga pici. Działają najczęściej w szeregach Intelligence Service lub Interpolu, bo to brzmi dumnie, choć nie gardzą i Abwehrą, szczególnie jeśli znaleźli się w niej dla „dobra sprawy”. Walczą zwykle o rzeczy wzniosłe. Są to m. in: zapobieżenie wybuchowi trzeciej wojny światowej, wykradzenie planów bomb atomowych lub uratowanie świata (zachodniego ma się rozumieć) przed... „widmem komunizmu”. Mózgi mają wygimnastykowane, a serca obszerne. Najpiękniejsze dziewczyny, także te, które miały ich zgładzić w sposób okrutny i perwersyjny, padają im w objęcia, a co poniektóre w efekcie zemrze się marnie z ręki własnych szefów - oprychów nie z tej ziemi.

Sami tajni agenci wychodzą ze wszystkich opresji bez szwanku, w garniturach nieskazitelnych jak z igielki. A przecież co i raz przeciwnik atakuje ich, to przy pomocy mózgu elektronowego, to zwykłego sprężynowca, a to znów odpali im w czoło rakietę średniego zasięgu.

W Polsce oglądamy, na szczęście niewiele „dzieł” tego rodzaju i może dlatego tłumy walą na japoński film „Beczka prochu” czy francuski - „Tygrys lubi świeże mięso”. Co inteligentniejsza publiczność zachodnia stała się natomiast jakby zblazowana i, o dziwo, twierdzi, że obrazy dotyczące przygód supermanów po prostu ją nudzą. Mimo to producenci filmowi nie rezygnują - jak wiadomo naiwnych nie trzeba szukać ze świecą.

Moda na tego rodzaju filmy zapanowała szczególnie od czasu, gdy przed sześciu laty zaadaptowano na ekran jedną z książek Iana Fleminga, zaś główną rolę - Jamesa Bonda, superagenta wywiadu angielskiego, posiadacza numeru rejestracyjnego 007 na liście osób uprawnionych do zabijania według własnej decyzji - powierzono Seanowi Connery. Drugorzędny aktor filmowy, już po trzydziestce, stał się nagle idolem, zyskał sławę i fortunę, jaka przypadła dopiero po latach ciężkiej pracy takim sławom i ulubieńcom publiczności jak Clark Gable, Gary Cooper, Humphrey Bogart czy John Wayne. Oczywiście do sławy tej przyczynił się reżyser Lewis Gilbert oraz producenci, panowie Harry Saltzman i Albert

Broccoli, którzy nie żalowali talentu ani ogromnych sum pieniężnych, aby zapewnić lansowanemu aktorowi odpowiednio wystawne tło.

I trzeba przyznać, że w tzw. inwestycjach tkwi jedno z głównych źródeł powodzenia filmów „bondowskich”. Akcja jest na ogół idiotyczna i prymitywna, toteż widza postanowiono zaszokować... najnowszymi osiągnięciami techniki i to w postaci „najczystszej”. Inaczej mówiąc: jeśli widz ogląda na ekranie bohatera wznoszącego się w powietrze przy pomocy „kieszonkowego” helikoptera czy posługującego się aparatem radiowym ukrytym w pierścionku, to na pewno wiadomo, że użyto tutaj autentycznych, najnowszych wynalazków.

Z drugiej strony postawiono na zawsze popularną widowiskowość. „Bondofilmy” charakteryzuje niezwykle rozmach inscenizacyjny, liczebność statystów. Jeśli scenariusz wymaga ukazania bitwy płetwonurków, angażuje się ich stu. Jeśli inscenizuje się scenę walki karate, bierze w niej udział kilka tysięcy osób. To skutkuje. Pomijając już sprawę sexu, któremu poświęca się tyleż miejsca, co zbrodniczemu wyrafinowaniu i okrucieństwu.

Jednakże nie wszystkie wytwórnie mogą pozwolić sobie na angażowanie w filmy o agentach wywiadu ogromnych sum pieniężnych. Proponują zatem bohaterów posługujących się wynalazkami, w jakie należy wierzyć, ale których nie można sprawdzić. Taki na przykład „Derek Flint” (jego postać kreuje James Cõburn) swoje wywiadowcze sukcesy zawdzięcza fenomenalnym zdolnościom w dziedzinie elektroniki, które pozwoliły mu zbudować niewielki aparacik wykonujący kilkadziesiąt różnych czynności - od uśmiercania przeciwników do... zapalania papierosa. Bohater przygód „Matta Helma” - znany skądinąd i ceniony aktor Dean Martin - polega raczej na sprawności własnego mózgu, zaś „Geo Poquet” - „Goryl” (Lino Ventura) już tylko na sile pięści. Z pań najlepiej dotąd dają sobie radę jako agentki wywiadu - chłodna i wyrafinowana „Modesty Blaise” (Monica Vitti) oraz mieszkająca szyki Abwehrze „Kotka” (Francoise Arnoul). Stara się z nimi jeszcze wprawdzie konkurować „Miss Marple” (Margaret Rutherford), ale znawcy nie rokują jej zbyt wielkich nadziei: Margaret mogłaby być śmiało babką każdej ze swych przeciwniczek, a poza tym ogranicza się głównie do spraw kryminalnych, współpracując w dodatku ze Scotland Yardem. A cóż to jest w dzisiejszych czasach Scotland Yard!

Co gorsze (dla producentów) sam Sean Connery zbrzydził sobie dość gruntownie dotychczasowe role. Lugera zamienił na colta, sportową Toyotę na konia i u boku Brigitte Bardot wystąpił w westernie Dmytricka „Shalako”. Miejmy nadzieję, że zobaczymy go na naszych ekranach w tym bądź co bądź sympatyczniejszym wcieleniu.